XXIII. Kraków, 15 maja 1920 r. Nr. 10.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 17 M. 10 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 470
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 3 Marki. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 3 Marki.



Z POLITYKI: — Czy pani widziała Petlurę?
— Nie widziałam, nie chcę widzieć, a jeżeli pan pokażesz, to się rzucę z okna!

Ciężka robota.

Do starego kawalera
Pokojówka raz się godzi:
— „Proszę pana, chcę być szczera,
Mało daje pan dobrodziej!“

Lecz sam jestem — pan jej na to:
Wymagania mam nie duże;
Zrana zajmiesz się herbatą,
Potem sprzątniesz, zetrzesz kurze.

Dziewka rzecze: Zawracanie!...
Phi!... odeszła mnie ochota,
Bo z starymi — to mój panie
Zawsze ciężka jest robota!...

Salomonowy wyrok.

Pan Pinkus przestrzegał bardzo skrupulatnie, aby nikt w domu nie odważył się wystąpić przeciw rytualnym przepisom. Można też wyobrazić sobie jego oburzenie, ale i przerażenie, gdy spostrzegł pewnego dnia, że służąca w garnku, przeznaczonym do gotowania mleka, gotuje rosół...

W pierwszej chwili chciał winowajczynię wypędzić ze służby, odwiodła go jednak od tego zamiaru żona, twierdząc, może i słusznie, że drugiej takiej sługi tak prędko nie znajdzie.

I on był tego zdania, bo Kasia „wpadła mu w oko“ i będzie sprawnie zastępowała żonę, gdyby ta w lecie wyjechała na świeże powietrze do Swoszowic.

Aby jednak mieć spokojne sumienie, udał się do zboru, opowiedział całe zajście i prosił o światłe rozstrzygnięcie.

Rabin wysłuchał, chwilę się zastanowił, potem rzekł:

— Garnek rozbić!... służącą możesz dalej używać!...





Z chwili.

Narzeka się u nas często na niezbyt spieszne funkcyonowanie Polskiej Ajencyi Telegraficznej (PAT) i, jak się pokazuje, słusznie.

Wpadł nam przypadkiem w rękę numer jednego z krakowskich pism codziennych, w którem znajdujemy dłuższą depeszę z Wiednia z datą 14 kwietnia.

Depesza była niezawodnie „bez drutu“. PAT. na podobny pośpiech chyba się nigdy nie zdobędzie.

* * *

W jednem z pism humorystycznych poruszono podobieństwo i różnicę, jakie zachodzą między oślicą Baalama a posłem Hryćkiewiczem, który obecnie zajął miejsce sejmowego Filipa z Konopi. Powiedziano tam, że obydwoje przemówili raz tylko, ale nie dodano: ...tylko raz nie tak mądrze.

* * *

Konsystorz książęco-biskupi na prośbę krakowskiego magistratu zgodził się, aby, aż do czasu poprawienia się stosunków aprowizacyjnych zmieniono odpowiednie zdanie w modlitwie Pańskiej na „chleba naszego kartkowego“ daj nam dzisiaj“.

* * *

Z powodu obawy rozwleczenia zarazy przez różnego rodzaju owady, „ożywiające“ łóżka w hotelach krakowskich, zaopatrzono te sympatyczne stworzonka w gęste kagańce z silnego drutu stalowego.

* * *

Jeden z krakowskich lekarzy operował pacyenta, nazywającego się „Zając“. Operacya się udała, pacyent... umarł.

Ponieważ według ustawy myśliwskiej jest obecnie tak zwany „czas ochrony“ na zające, lekarz pociągnięty został do odpowiedzialności za przekroczenie odpowiedniego paragrafu ustawy.

Nocna służba.

Pan naczelnik pewnej stacyi
Przeciążony mocno,
Nieraz pełen rezygnacyi
Pełnił służbę nocną.

Nocna służba wyznaczona —
Niema rady na to!
Niech go nawet w domu żona
Nie czeka z herbatą!

Wtedy frajda wyjątkowa
Pana asystenta,
Również i naczelnikowa
Jest z tego kontenta.

Pan asystent jest pomocą
dobrą najzupełniej,
I on także przecież nocą
Ciężką służbę pełni.

Pedagogika milczenia.

Nauczycielka włoska, pani Marya Montessori, wydała nową metodę wychowania, nazywaną „pedagogiką milczenia“.

Dotychczasowy system weźmie zatem w łeb. W myśl zasady „milczenie jest złotem“, ten będzie najmądrzejszy, kto najzawzięciej milczy.

Między warszawskimi mężami „o domowem wykształceniu“ wiadomość ta wywołała ogromne zainteresowanie. Ministerstwo oświecenia publicznego opracowuje nowe przepisy nauczania na podstawie wywodów włoskiej wychowawczyni.



NOWY DZIENNIK

(Obrazek z życia krakowskiego.)

Pan radca wrócił dziś wieczorem do domu daleko wcześniej niż zwykle i w jakimś niezwykle dobrem usposobieniu.

Lepszą swą połowę, panią Maryę, zastał przy herbacie, w towarzystwie pana Karola, człowieka wprawdzie od niej o lat kilkanaście młodszego, ale uważanego przez cały Kraków za „tego trzeciego“, czyli za tak zwany w gramatyce małżeńskiej „dopełniacz“ w domu państwa radcostwa.

Pan radca nie gniewał się o to, owszem był nawet zadowolony że jest ktoś, kto mu pomaga dmuchać w ognisko domowe, wyręcza go w spełnianiu różnych powinności małżeńskich, co zaś najważniejsze, bierze na siebie większą część objawów niezadowolenia pani radczyni. O ile bowiem radca był człowiekiem o gołębiem sercu i baraniej uległości, o tyle znów zacna jego magnifica posiadała temperament i dawała mu zbyt często folgę. Ofiarą padał ten, kto był najbliżej, a że pan Karol nie odstępował jej prawie na krok przez dzień cały, był pewnego rodzaju konduktorem, chroniącym pana radcę od piorunów małżeńskich.

I za to czuł radca wdzięczność względem młodego człowieka.

Pan radca złożył ojcowski pocałunek na czole swej dozgonnej towarzyszki, odzywając się przytem z miną tajemniczą.

— A wiesz, Niusieczko, kto cię całuje?

Popatrzyła nań jakimś dziwnym wzrokiem, jak gdyby chciała mu powiedzieć, że skoro przebrał miarkę, najlepiej zrobi, jeżeli pójdzie spać, gdy jednak radca powtórzył pytanie, odparła z grymasem:

— Dlaczegóż miałabym nie wiedzieć?...

— A ja ci mówię, że nie wiesz!... Chwalisz się, że wszystko wiesz, a jednak nie wiesz, choć wiedzieć powinnaś!...

Te tajemnicze słowa zaintrygowały panią Maryę, nieodrodną córę Ewy, więc stale ciekawą.

— Ja nie wiem? — rzekła. — I co pan na to, panie Karolu?

— Nic, panie dobrodziejko! — odrzekł zagadnięty. — Ale coś być w tem musi, skoro pan radca tak utrzymuje...

— Ja wiem, że pocałował mnie mój mąż!

— A kimże on jest? — dodał radca z uśmiechem.

Na usta cisnęło się jej słowo: „fujara“... pohamowała się jednak i odpowiedziała spokojnie:

— A kimże?... Radcą miejskim!

— Otóż widzisz, mój kotku, że nic nie wiesz!... — zawołał radca. — To opinia publiczności złożyła na twem czole pocałunek pokoju!...

Pani radczyni zrobiło się jakoś niewyraźnie, wiedziała bowiem, że ta „opinia publiczności“ reprezentowana przez jej serdeczne przyjaciółki, bierze ją zbyt często na języki...

— Czyżby mu znów coś powiedziano? — pomyślała, a potem dodała głośno. — Tego to już zupełnie nie rozumię!... Co opinia publiczna może mieć wspólnego z całowaniem?

— Bo ja koteczku, źle się wyraziłem!... — tłomaczył się radca. — Chciałem powiedzieć, że na twem czole składa pocałunek pokoju przedstawiciel opinii publicznej!... Trzeba ci bowiem wiedzieć, że od dziś jestem redaktorem!... Wydaję dziennik!... Wracam właśnie z posiedzenia komitetu, na którem zapadła ostatnia decyzya...

— Ty?... Redaktorem?...

— Tak jest!... Ja!... — i wyprostował się dumnie, w całem poczuciu swej nowej godności, z którą, jak sobie sam wyobrażał, musiało mu być do twarzy.

Spojrzała nań łaskawiej, a on mówił dalej:

— Nakłaniałem się dość po różnych redakcyach, gdy się ubiegałem o mandat do Rady miejskiej... Teraz, niech oni się mnie kłaniają!... Powiadam ci, ministrowie będą stać w ogonku, czekając na audyencyę u pana redaktora... A ty koteczku, będziesz panią redaktorową...

— Mecenasowa, gdy się dowie — dorzuciła z widocznem zadowoleniem — pęknie z zazdrości!... Zaraz jutro zawiadomię ją o tem!...

— A jakie znaczenie będzie miał człowiek u współobywateli!... Kto wie, czy przy najbliższych wyborach do Sejmu nie zgłoszę kandydaturę... A cóż trudnego, jak z posła zostać ministrem!... Byłabyś, Niusieczko panią ministrową!...

— Szkoda tylko, że teraz ministrowie noszą zwykłe marynarki, a nie złotem wyszywane fraki!...Zawsze to poważniej wyglądało...

— Tak!... Ale teraz świat się zdemokratyzował!... I ja jestem demokratą, choć nie zdecydowałem się jeszcze, jaki obrać kierunek... Będzie loża w teatrze, aktorzy i aktorki...

— O!... Co to, to nie!... To sobie wybij z głowy!... Do teatru pójdziemy, ale tylko w mem towarzystwie, bo ja na żadne zgorszenia nie pozwolę... Nawet obejdzie się bez cie bie!... Zupełnie wystarczy, jeśli ja tam będę z panem Karolem...



Poradził sobie.

Młody nowowyświęcony Bernardyn miał wygłosić pierwsze kazanie w uroczystość św. Franciszka. Zabrał się zatem gorliwie do pracy, ale ani rusz nie mógł dojść do rezultatu. Zrozpaczony, zwrócił się do jednego ze starych zakonników z prośbą o poradę. Ten dał mu gotowe już kazanie na uroczystość Znalezienia św. Krzyża, by mu służyło jako wzór.

Niestety, i to na nic się nie zdało, biedaczysko ani rusz nie mógł zlepić całości. W ostatniej zatem chwili, nie mogąc znaleźć innego wyjścia, przepisał poprostu kazanie o św. Krzyżu, zastępując to słowo wyrazem „św. Franciszek“ i wyuczył się *expedite* na pamięć.

W uroczystość św. Franciszka pełen najlepszej myśli wstąpił na ambonę i wygłosił z przejęciem co następuje:

„Pobożna cesarzowa Helena uczyniła ślub, że musi odnaleźć prawdziwego św. Franciszka. W tym celu udała się do Jerozolimy, aby czynić poszukiwania.

Tam żyło jeszcze kilku ludzi, którzy pamiętali dobrze miejsce, gdzie zakopano w swoim czasie św. Franciszka. Za ich wskazówką rozpoczęto poszukiwania i natrafiono na trzech Franciszków, zakopanych w jednym dole.

Aby się przekonać, który z nich jest prawdziwym Franciszkiem, zaniesiono je za radą pewnego pobożnego kapłana do domu niewiasty, złożonej ciężką chorobą. Gdy do niej przyłożono pierwszego Franciszka, stan jej się widocznie pogorszył, gdy powtórzono to samo z drugim, już oczy zamykała, gdy zaś ledwo poczuła dotknięcie trzeciego, wstała zupełnie uzdrowiona.

W ten sposób przekonano się, który był prawdziwy Franciszek“...

Z pamiętników kanapki

Narodziłam się w meblowym,
Pierwszorzędnym magazynie,
Który „prix fix“ ma zasadę,
A z wyrobów swoich słynie.

Nabyła mnie pewna pani
I wstawiła do sypialni,
Gdzie, jak przekonana byłam,
Że żyć będę najmoralniej.

Byłam kryta pięknym pluszem,
Cała miękko polstrowana;
Jednom słowem pięknej pani
Godna, piękna otomana.

Pani rzekła do służącej:
Jest pożytek z otomany,
By nie niszczyć ciągle łóżka —
Można na niej dla odmiany...

Byłam więc dla praktyczności,
Łóżko było na paradę,
Moja pani wzięła sobie
Także „prix fix“ za zasadę.

Com widziała i com przeszła —
Moja Muzo! o tem nie piej!
Po co zresztą opowiadać —
Takie rzeczy znacie lepiej!

Wreszcie nadszedł czas krytyczny —
Cios w nas palnął nakształt gromu:
Mnie sprzedano do szynkowni,
Wyrzucono panią z domu

Smutne losy nas obydwóch —
Ja i ona nieszczęśliwa!
Ja w tym szynku stale mieszkam,
Ona tu też czasem bywa.

Czasem gdy usiędzie na mnie
Skrzypię z żalu, bo zaiste,
Dawniej czułam wszystko pulchne,
Dziś tak chude i kościste!...



Pomyłka.

Pani Kohn wybrała się do rabina cudotwórcy w Sadogórze, aby go poprosić o wstawiennictwo do Pana Boga w bardzo ważnej sprawie. Rozchodziło się o to, aby jej starsza, zamężna córka doczekała się tak upragnionego potomstwa, a młodsza znalazła męża.

Rabin wysłuchał ją łaskawie i przyrzekł pomówić o tem z Panem Bogiem...

Minął rok, pani Kohn spotyka się ze swą przyjaciółką, panią Pufeles, która ją naturalnie pyta zaraz na wstępie, wiedząc o jej podróży, czy był skutek.

— Był! — odpowiada pani Kohn — ale, zdaje mi się, rabin musiał się pomylić!...

— Co pani mówi? — pani Pufeles na to.

— Tak, moja pani!... Ale niema się czemu i dziwić!... Taka świątobliwa osoba, która rozmawia z samym Panem Bogiem, ma różne rzeczy na głowie i może się łatwo pomylić!...

— I cóż się stało?

— Widzi pani, moja pani Pufeles, akurat w trzy kwartały po mej bytności u rabina miała córka dziecko...

— No i cóż pani chce?... Przecież pani o to prosiła!

— Tak!... Ale nie ta zamężna, tylko młodsza, która jest jeszcze panną!...

— Oj waj!... To niedobrze!... A dla drugiej prosiła pani o męża... I cóż z tem?...

— Zamężna córka znalazła sobie przyjaciela, który ją tak kocha, jak własny mąż.. Ale to się znowu mężowi nie podoba...

— Żal mi pani, moja pani Kohn!... Ale sama pani sobie winna!... Musiała pani przedstawić to rabinowi nie dość jasno!...

— I ja tak myślę!...

W kuchni.

— Cóż to sierżant u ciebie? Anielciu, przecież mówiłaś, że nie masz znajomych...

— Bo to proszę pani nie znajomy, ale on dopiero przyszedł zaznajomić się ze mną...

— Spodziewam się — przerwał młody człowiek — że pan radca...

— Przepraszam!... Nie radca lecz redaktor!... Radca to zero, redaktor to potęga, z którą się każdy musi liczyć...

— Sądzę więc, że pan Redaktor i o mnie nie zapomni i przyjmie mnie w skład grona współpracowników.

— Owszem!... Na pańskie współpracownictwo liczyłem zawsze...

— Pan Karol — dodała pani radczyni=redaktorowa — ma zawsze świeże wiadomości z pierwszej ręki. My-ci obydwoje opracujemy codziennie kronikę miejscową...

— Ja mógłbym objąć i dział teatralny — podchwycił pan Karol — W tym świecie mam liczne stosunki.

Wypowiedział te słowa prędko, ale urwał jeszcze prędzej przed wyraźnem spojrzeniem pani Maryi, które przeszyło go, jak ostrze sztyletu.

— I jakiż tytuł nowego pisma? — badała pani redaktorowa, aby mieć jak najwięcej materyału, z którym nazajutrz od samego rana postanowiła „oblecieć“ wszystkie swe przyjaciółki.

— Jeszcze ostateczna decyzya nie zapadła... Zdaje się jednak, że będzie to *„Trąba Krakowska“* lub coś w tym guście...

— I kiedyż wyjdzie pierwszy numer?

— Z końcem tygodnia.. Najważniejsze kroki już poczynione. Komitet wydawniczy już się ukonstytuował, lokal redakcyjny mamy, drukarnię i papier zapewnione...

— A współpracownicy?

— Na razie udało mi się kupić kilka par doskonałych nożyczek i to bardzo tanio. Tych, którym je oddam w ręce, nie braknie... Już dziś zgłosiło się sześciu, między niemi trzy kobiety. Gwoździkowska z „Waryata“, Koczkodańska, obecnie bez zajęcia...

— Tylko, bardzo proszę, bez takiego współpracownictwa!... Na to nie pozwolę!

— Koteczku!... Znasz mię przecież!...

— Choć cię znam, ale nie pozwolę!... Masz mnie i to ci powinno zupełnie wystarczyć!... Prawda, panie Karolu?

— Prawda! Święta prawda, pani dobrodziejko!...

— Pozatem zwracam uwagę, że nie pozwolę na to abyś obce strony, zwłaszcza kobiety, przyjmował w mej nieobecności... Zresztą ja, jako żona, muszę wiedzieć o wszystkiem i ja będę rozstrzygać o przyjęciu współpracownic i kierunku pisma. W Anglii jest kobieta naczelnym redaktorem wielkiego politycznego pisma, może być zatem i w Krakowie... Zresztą liczę na pana, panie Karolu...

— O!... Pani dobrodziejka może być pewną...

— My-to już obydwoje załatwimy, jak się należy!... Dobrze przynajmniej, że nie braknie w domu papieru!... Wczoraj chciałam zawinąć trzewiki, aby je odnieść do szewca i w całym domu ani kawałka gazety.. Pamiętaj, że zaraz w pierwszym numerze masz schlastać gospodarza, który mi znowu podniósł czynsz i moją krawcowę, która nie odniosła na czas sukni, tak że nie mogłam wziąć udziału w ostatniej loteryi spożywczej!... Przeto napisz, panie Karolu, a potem mi przeczytasz...

Tej nocy spali nasi bohaterowie bardzo spokojnie i roili złote sny bytności. Pan radca widział się tworzącym całą Polskę redaktorem, wobec którego nawet Witos czuje respekt, pani radczyni patrzyła własnemi oczyma na małżonka zasiadającego na ministeryalnym fotelu, a pan Karol czuł się zupełnie dobrze w roli współpracownika pana radcy, tym czasem na razie swobodniej.

Nazajutrz od wczesnego ranka rozbiegli się radcostwo w różne strony, on w interesach redakcyjnych, ona do przyjaciółek by im zakomunikować wieść radosną...

Dzień, w którym miał wyjść pierwszy numer *„Trąby Krakowskiej“*, był dla wszystkich dniem uroczystym. Pan radca wpadł do domu na chwilę, aby zjeść kolacyę i spieszyć znowu do pracy, pani radczyni omawiała z panem Karolem bieżące sprawy i kwalifikowała, które nadają się do następnego numeru.

W tem odezwał się dzwonek telefonu.

Pewnie z redakcyi! - zawołał radca i pospieszył do aparatu.

— Co być może? — mówił z kimś nie widzialnym. — Może się pan myli!...

Tamten coś odpowiedział, radca=redaktor odłożył słuchawkę, podszedł ku kanapie, rzucił się na nią prawie bezwładnie i rzekł zrezygnacyą:

— Skonfiskowany!...

Słysząc to, zawołała radczyni-redaktorowa z pasyą:

— Żeś jest niedołęgą, o tem dawno wiem! Ale, nie przypuszczałam, aby ci się nawet pierwszy numer nie udał!... Prawda panie Karolu?...





— Co teraz robisz mistrzu?
— Jak pani widzi, drugie dziecko, jutro wezmę się do trzeciego!



— I wiesz, że z oburzenia nie mogłam przyjść do siebie, aż dopiero — —
— Acha! poszła pani do niego!



Uważa mnie prawdopodobnie za przyzwoitą kobietę!... To impertynencya!



— Jestem kobietą bez przesądów, bez żenady i...
— Najczęściej i bez sukni!



Pierwszy deszczyk majowy, a ja jak na złość w grubych pończochach!



Dziedzic:
„Przyjdź dziś do mnie cichą nocą,
Bo ja panem, a tyś sługą!“
A Marysia pyta: „poco?“
Zamiast spytać: „na jak długo?“



— Dzisiaj u kobiet wszystko idzie maszyną: szycie, pisanie...
— Nie kończ! domyślam się!



— Moja kochana! Stara miłość nie rdzewieje.
— O tak!... ale mimo to jak stare żelazo idzie na szmelc!

Ferdek Eleuteryk.



Aczkolwiek w poprzednim lumerze byłem obiecujący, że podam P. T. Czytelnikom sposób, w jaki mogą się za tanie pieniądze kłaków z makówy i z inkszych części być pozbywający, nici z tygo!... Nie skróś tygo, jakobym nie był wiedzący, bo wiem, ale z tygo powodu, iż byłem golibrodom obiecujący, że z tej kwestyji nie puszczę pary, aby im nie psuć jenteresu. A jo jestem taki, że mogę o sobie rzeknąć, iż danygo słowa nigdy jeszcze nie złamałem, cheba bez zapomnienie. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Nie dziś, to nagrypsom o tem późnij, a tymczasem kuždymu wyrosną dłuższe włosy i bedzie wyglądający niczym majowy, abo inksze kudłate stworzynie.

A jo, jako literata, jestem z golibrodami štamę trzymający, bo to są artyści, jako że z pendzlem są do czynienia mający. Znają się zresztą i na poletyce, a w Królestwie, jak mi opowiądano, dwu z nich jest nawet inspektorami podatkowymi. Taki inspektor, to proszę siadać na gorącą blachę!... Ten już swych klientów wygoli całkiem elegancko.

Ponieważ zaś, jak powiedział jakiś filozof, kulturę każdygo narodu poznaje się z ilości użytygo przezeń mydła, a fach golibrodów poligo właśnie na mydleniu, można się być podziwującym, że jak nie prędzyj to później ostanie u nas golibroda ministrem od kultury i štuki.

Takigo pana byli my w tamtym tygodniu po raz pirszy w Krakowie oglądający. Nie było to wprowdzie rychtelny minister, ino „wicek". ale w kuždym razie klawy binios, bo nie tylko obiecowoł, jak inne ministry, że o Krakowie nie zapomni, ale tu i tam zostawił trochę hopów na różne cele kulturalne i humanitarne.

Nie podobało mi się ino to, że chciałby, aby Kraków swoje Muzeum Narodowe był Warsiawie obiecujacy, a ona się już postara o to, abyśmy nie potrzebowali się kłopotać o to, gdzie je pomieścić, w špitalu, czy w kuchni. Nasze znawce od štuki może byłyby z tygo i kontentne, bo wychodzą z zapatrywania, że „baba z wozu, koniom lży", a Warsiawa pewnikiem zabrałaby se zaroz cały liwentorz muzyalny, tak żywy, jak i martwy.

Z panem wiceministrem byłem na własną gębę gadający. Oświadczył, że Kraków mu się podobo, że widać tu kulture na kuždym kroku, a i štuka rozwijo sie nie belejako, z wyjątkiem ino štuki minsa, która dużo kosztuje, a jest coraz mikrniejszo. Gdy się człek do niej zabiro, musi być silnie uważujący aby jej nie był z talirza zdmuchujący.

— Ale to nie jest do swojigo zakrysu działania należące — tłumaczył się pan minister.

— To resort mego kolegi od aprowizacyji!

— Ale nasze polityki nic se nie są z ministrów i z ich rozporządzyń robiące — jo mu na to. — Minister swoje, a oni swoje! Jojczą furt, że są dokładające, co trza być w ten sposób rozumiejącym, że dokładają kości do wagi, a hopy do kabzy...

Swoją ulicą, chciałbym być takim ministrem, którygo urzyndowanie poligo na chodzyniu do do tyjotru, na wystawy, na oglądaniu różnych špiwających, malujących i wirszami gadających brzanów i chłopów. Gdyby pan aptykarz Skulski był do swygo gabinetu potrzebujący kandedata na ten stolec, jestem gotowy wniść podanie, a jeszcze chętnij, gdyby za przykładem Francyji, chcioł u nos zrobić ministerstwo od športów, ale nie tych — które pan Bujański jest w trafice sprzedający, ino takich, jak piłka nożno, jeżdżenie na kobyle, karuzela, huśtawka i t. d.

Ino w tem sęk, a w tym sęku dziura, i to paskudno, że ministrem nie jest sie wiecznie i, gdy powiedzą człekowi we Warsiawie „adje", może sie być w tem miłem położyniu znajdujący, co nasz pan krajsfizyk, który do Krakowa wracający, nie jest wiedzący, gdzie ma głowę skłonić, aby sie przekimać. I miszko pono w namiocie, choć byłoby wygodniej i paktyczniej, jak ów grecki Dyjogenes w beczce. U pana prezydenta jest dosyć beczek w piwnicy, mógłby jedną odstąpić, skoro taki brak mieszkań.

Minister narzyko, że nimo dachu nad makówą i że mu sie na kark leje, a cóż dopiro mo mówić taki, co nie jest nawet kandydatem na ministra!

A na dowód złygo już niedługo nie bedzie se można co cycnąć na zgryza, cheba wody, a człek, wiadomo, nie krowa, aby się nią napoił.

Miłe czasy, choć godali, że będą coraz lepsze!...

Drażliwe pytanie

Gospodyni u proboszcza,
Babsztyl wcale nie tak głupi
(Zna albowiem Rinaldiego)
I „Kuryerka" czasem kupi.

Jednem słowem jest to perła
W kuchni miedzy garnki skryta —
Gdy zaś czego nie rozumie
O znaczenie — księdza pyta.

Raz tak mówi: Proszę pięknie
Wielebnego Jegomości!...
Wyczytałam W „Kuryerze",
Co mnie nie na żarty złości.

Co jest „Homoseksualizm",
O czem piszą w artykule,
Z kuryerkowej tej mądrości
Nie rozumiem nic wogóle!?

Ksiądz podrapał się po głowie.
Gdzie tonzury świeci kółko
I tak rzecze frasobliwie:
„Widzisz moja przyjaciółko!

Homoseksualizm byłby
(Jak się to w tym świecie zdarza),
Gdyby ja ot — na ten przykład
Zamiast ciebie — miał kucharza!...

W kuloarach sejmowych.

(Podsłuchane.)

— Kolega głosował za wnioskiem w sprawie zakazu sprzedaży alkoholu?

— Tak!

— Zapewne z przekonania, tak jak ja!

— Tego nie powiem!.. Raczej z galanteryi dla płci pięknej, od której wniosek wyszedł...

— To ednak nie przeszkadza, byśmy nie mieli pójść do bufetu na kieliszek... Czuję się jakoś nie swój...

— Chętnie!... Trzeba korzystać z czasu!...

Nieszczęśliwy wypadek.

— Łaskawy Panie dyrektorze! proszę o jakiś dodatek do pensyi. A to z powodu tego, że się ożeniłem...

— Żałuję niezmiernie, ale nic na to nie poradzę. Za *nieszczęśliwe wypadki*, które się moim urzędnikom wydarzą poza urzędem, nasze Towarzystwo nie odpowiada...

Wziął się na sposób.

Przed sędzią śledczym stanął wyrostek wiejski, oskarżony o gwałt, jakiego dopuścił się na osobie jednej z wiejskich piękności, która razem z nim pasła bydło.

Sędzia przystąpił do przesłuchania obwinionego, ale nie mógł zeń wydobyć ani słowa. Chłopak jąkał się do tego stopnia, że, gdy się raz zaciął, nie wykrztusił ze siebie ani słowa.

Sędzia zatem wziął się na sposób. Kazał mu gwizdać, a wiadomo, że nawet jąkale przychodzi ono z łatwością.

Na pytanie: „Jak się nazywa?" zagwizdał oskarżony:

— Bartoszu! Bartoszu!... Oj ostre kosy nasze...

Sędzia kazał zatem zapisać w protokole, że oskarżony nazywa się Bartek.

— A jej jak na imię? — pytał dalej sędzia.

Jąkała zagwizdał znowu na nutę:

— Małgorzatko, kocham cię na rzadko...

— A gdzie to było? — brzmiało dalsze pytanie, w odpowiedzi zaś na nie rozległa się melodya:

— Na zielonej łące, pytałem się jej...

Sędzia wiedział już mniej więcej, co mu było potrzeba, dodał jednak pytanie:

— No, a cóż ona powiedziała na to?

A jąkała odpowiedział na to znaną melodyą z „Ptasznika z Tyrolu":

— Jeszcze raz!... Jeszcze raz!... Jeszcze raz!...

Na podstawie tych zeznań, nie znajdując powodu do dalszego dochodzenia, uwolnił sędzia obwinionego od wszelkiej odpowiedzialności karnej.

W krakowskiej restauracyi.

Gość: Co?... Kawałek gorącej kiełbasy z musztardą szesnaście koron?... Więc ceny znów podwyższone?..

Gospodarz (z miłym uśmiechem): Tak, panie dobrodzieju!... Ale porcye zato są mniejsze!...

Zapamiętała sobie.

Małą Stefcię, gdy bawiła się w ogrodzie, ukłuła w rączkę osa. Rączka spuchła, było dość bólu i płaczu, nic też dziwnego, że Stefcia zapamiętała sobie dobrze to niemiłe zdarzenie.

W jakiś czas potem przyjechała do nich w odwiedziny ciocia, młoda mężatka, spodziewając się niebawem odwiedzin bociana.

Widząc ją, przybliża się Stefcia ku mamie i pyta z tajemniczą uciechą:

— Mamusiu!... Czy ciocię w brzuszek także osa ukłuła?...

Fatalne omyłki druku.

Z powiastki dla dzieci: W oczekiwaniu na gości, zerznął pustelnik swą ulubioną kozę.

* *

Ze sprawozdania: Patrzono z podziwem na sprawne ruchy młodego strażaka na rozłożonej hrabinie. Gdy skończył spuścił się na ziemię.

* * *

Z sprawozdania policyjnego: Nieznany sprawca skradł Katarzynie Kozik z kupra srebrną łydkę.

* *

Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Mógłbym wprawdzie pójść w ślady pana Kaspra Krupy, *specyalnego* korespondenta *Dyabła*, wysyłającego swe listy „z Szwajcaryi“ z datą „Londyn“ i wiadomości do P. T. Czytelników, że byłem w San Remo, jako człek prawdę miłujący, wolę się przyznać, że się na tę konferencyę spóźniłem.

A winien temu nikt inny tylko Hoover, który w żaden sposób nie chciał mię puścić.

— I poco się pan tak spieszy panie Klapa? Chyba pan wie, że i u nas uchwalił Sejm zakaz sprzedawania wódeczki. Tak dalej, a i wy z czasem wyjdziecie na ludzi!

Przyznałem mu racyę i nie spieszyłem się wcale, zwłaszcza, że mi wpadła w oko pewna Amerykanka, którą pokochałem z całą siłą mego męskiego uczucia, na jakie pozwala majątek pół miliona dolarów w gotówce, jakie wniesie swemu przyszłemu. Przeliczywszy to na korony, przekonałem się, że ją kocham bez pamięci!...

Niestety, jest przecież „ale“... Na ów posag, stanowiący dodatek do osoby żony, trzeba jednak trochę poczekać, dopóki żyjący jeszcze i cieszący się prawdziwie byczem zdrowiem małżonek owej amerykańskiej piękności jeszcze żyje i robiąc doskonałe interesy na różnych dostawach dla głodnej Europy, nie ma bynajmniej ochoty przeniesienia się *ad patres*.

Amerykance spodobałem się też widocznie, dała mi tego już nieraz dowody, napomykając, jakby od niechcenia, że byłaby bardzo zadowoloną, gdyby jej przyszły mąż był dyplomatą.

Ponieważ to nie sprzeciwia się amerykańskiej etykiecie, aby za życia kogoś mówić o jego śmierci, zauważyłem:

— W danym wypadku, po najdłuższem życiu nieboszczyka męża, mógłbym może reflektować?...

— I owszem — odpowiedziała, spuszczając skromnie oczy. — Nie wiem jednak, kiedy to może nastąpić!

— Nic nie szkodzi!... Mnie się nie spieszy... „Mogę poczekać“ jeszcze, skoro czekałem dotąd!... Niech zresztą małżonek dobrodziej dorobi tymczasem drugą połowę miliona... Zresztą, co milion, to nie pół!...

— *O yes!...* — odpowiedziała z tak czarownym uśmiechem, że o mały figiel nie wyskoczyłem ze skóry, a przed oczyma zaczęły mi skakać zera, wchodzące w skład milionowego ogona. Tańczyły, jeśli się nie mylę *twostep*.

Już to, muszę powiedzieć, że mam kolosalne szczęście do kobiet. Którą spotkam, każda mi się podoba, zwłaszcza, jeśli jest młoda i ładna.

Na pożegnanie wygłosiłem w Nowym Jorku na zgromadzeniu przedwyborczem mowę agitacyjną. Chwaliłem Hoovera, chwaliłem Wilsona, aby się żadnemu nie narazić i zakończyłem słowami:

— Zresztą, panowie i panie, radzę wam, wybierajcie, kogo chcecie.

Słuchacze, byli to sami rodowici Amerykanie, a choć mówiłem po polsku, mowa moja zrobiła widocznie wrażenie. Gdy skończyłem, rozległy się oklaski i okrzyki: *Hallo, mister Klapa!...* dwie Amerykanki zemdlały. Hoover mnie kordyalnie uściskał, a pani Wilsonowa, która była także na sali, rzekła: „ocierając oczy i nos“:

— Za te pełne męskości słowa, nie wahałabym się ani chwili i dałabym ci tu publicznie na środku sali...

— O pani! — przerwałem jej, bojąc się by słowa jej nie doszły do uszu mej półmilionowej Amerykanki, a wiem, że jest zazdrosna i ma temperament, bynajmniej nie amerykański.

— Całusa! — dokończyła Wilsonowa. — Woodrow nie bez racyi powtarza w ostatnich czasach, że liczy na Klapę...

Jeżeli nie na tę, chodzącą na dwu nogach, to jest na mnie — pomyślałem — może być pewny, że czeka go inna. Z traktatem pokojowym i Ligą zrobił już klapę...

W tym czasie zaczynają się od bieguna odrywać kawały lodu (jest jego tam fabryka daleko większa niż w Krakowie, w rzeźni miejskiej!...). Owe góry lodowe płyną sobie ku południowi i po drodze rozbijają okręty, jak się to stało swojego czasu z Tytanikiem, którym, jak gdyby przedtem o tem wiedział, wysłał eden z mych amerykańskich przyjaciół swą teściową do Europy. Zmylił kierunek, i zamiast brzegów Anglii, dokąd dążyła, popłynęła ...na dno. Świeć Panie nad jej duszą kolorowemi latarniami, o ile światło zda się jej tam na co.

Mnie w drodze nic podobnego nie spotkało. Przebyłem jedynie morską chorobę, ale to zdarza się nieraz i na lądzie stałym. Jestem bardzo wrażliwy i dlatego muszę na siebie bardzo uważać. Niedawno omal nie naraziłem się na porażenie straszne, czytając opis podróży po Saharze.

Za pierwsze miejsce postoju w Europie wybrałem sobie Londyn, gdzie odwiedziłem Lloyda George'a (nie: lorda Georgena!... panie Krupa!...), aby się usprawiedliwić, dlaczego do San Remo nie przyjechałem i dowiedzieć, co tam postanowiono.

Lloyd George'a zastałem w domu i do tego w łóżku z szyją owiniętą pończochą żony. Cyrulik stawiał mu bańki.

Na zapytanie, co mu dolega, odpowiedział z wściekłością, o jaką trudno nawet pomawiać flegmatycznego Anglika.

— Dyabli nadali tę politykę!... Można się poprostu wściec!... Przywiozłem sobie z San Remo taki bronchit i katar, że sobie rady dać nie mogę!... Kapie i kapie!

— To źle! — zauważyłem. — Wszystkie wogóle choroby, połączone z kapaniem są bardzo nieprzyjemne!...

Lloyd George żałował bardzo, że nie byłem w San Remu, gdzie miałem referować sprawę turecką, ponieważ się na niej nie znam, odpowiedziałem mu:

— Ja zaś cieszę się z tego, bo jestem bodaj zdrów!... Dawniej jechało się na Rivierę po zdrowie, dziś się stamtąd wywozi choroby!

— Tak!... Tą kwestyę musi także załatwić Liga Narodów!... Cóż tam słychać w Ameryce?... Co porabia Wilson i Hoover?...

— Źle słychać!... — ja mu na to.

— Cóż takiego?... — zawołał i siadł na łóżku.

— Można tam umrzeć z pragnienia, bo się kropli wódeczki nie dostanie!...

Odetchnął z widoczną ulgą.

— Przestraszyłeś mnie niepotrzebnie!... Myślałem, że co gorszego... Ale napijmy się, bo i mnie to lepiej zrobi..

I wyciągnął z poza łóżka... flaszkę *vhisky*, popił do mnie, potem ja do niego, i rozpoczęliśmy rozmowę polityczną. Ponieważ prosił, aby to, co będziemy mówić, zostało pokryte wieczną tajemnicą, napiszę o tem w liście następnym.

Narazie i ja zaziębiłem się także, kicham, kaszlę a pier...si mnie bolą i całuję wszystkich serdecznie

Wasz

Klapa.

Dziwni są ci ludzie!...

— Pan dobrodziej się gniewa, że spadł na niego kawałeczek gzymsu z mej kamienicy?... To ciekawe!... Niedawno na jednego z mych znajomych *spadła* po świętej pamięci ciotce cała kamienica i nie powiedział ani słowa!... Jak-to ludziom trudno dogodzić!...

Nasze dzieci.

— Mamusiu, czy ludzie w ziemi się rodzą? — spytał się Steruś.

— A to dlaczego?...

— Bo pan Henryk pytał się wczoraj naszego tatki o mamę: „A skądżeś taką babę wykopał?“...

⊙ ⊙

Przyczynek do nauki akuszeryi.

Medycyna nie zna wstydu,
Gdy się rzecz traktuje seryo,
Tak się rzecz ma przedewszystkiem
Z tą tak zwaną „akuszeryą“.

— Co to jest „*przedwczesny poród*“?
Wiedz, byś nie był w błędzie grubym,
Jeśli dziecko na świat przyjdzie
Tak mniej więcej rok — przed ślubem,

— Co to jest „spóźniony poród“?
Niech cię myśl ta nie natęża:
Jeśli dziecko na świat przyjdzie
Najmniej w rok — po śmierci męża.

„Poród zaś *nieprawidłowy*“
Jest znów kombinacya taka:
Jeśli zamiast twojej żony —
Twoja bona ma dzieciaka!...

Wytłómaczył.

W pałacu Wielopolskich, gdzie ma swą siedzibę krakowska władza autonomiczna, widnieją nad drzwiami różne napisy w języku łacińskim, między innymi jeden brzmiący: „*Praestantibus prioris negligere virtutem concessum non est*“.

Niedawno przy okazyi zwiedzania gmachu prosił jeden z przyjezdnych oprowadzającego go Krakowianina o wytłómaczenie, co ten napis znaczy, gdyż sam w łacinie nie był biegły.

A Krakowiak na to:

— To znaczy proszę pana: „Mężowie wpływowi nie powinni zapominać o wystaranie się o koncesye szynkarskie dla swych najbliższych...“

⊙ ⊙

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



— Mając takie ładne nóżki, powinna pani zawsze boso chodzić!...
— Tak! mając wszystko ładne, powinnam chodzić boso aż do szyi!